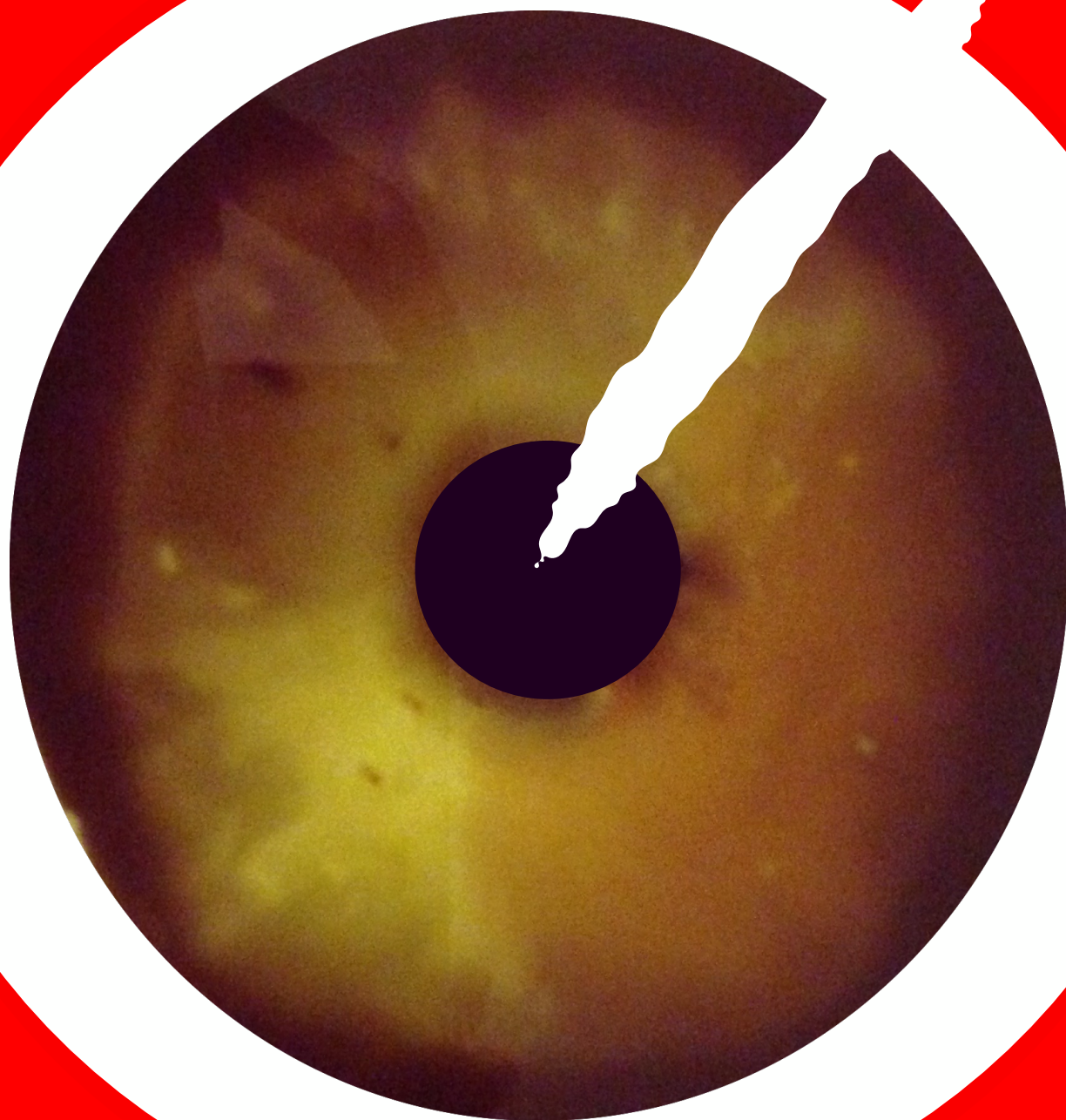


Magdalena Krakowska

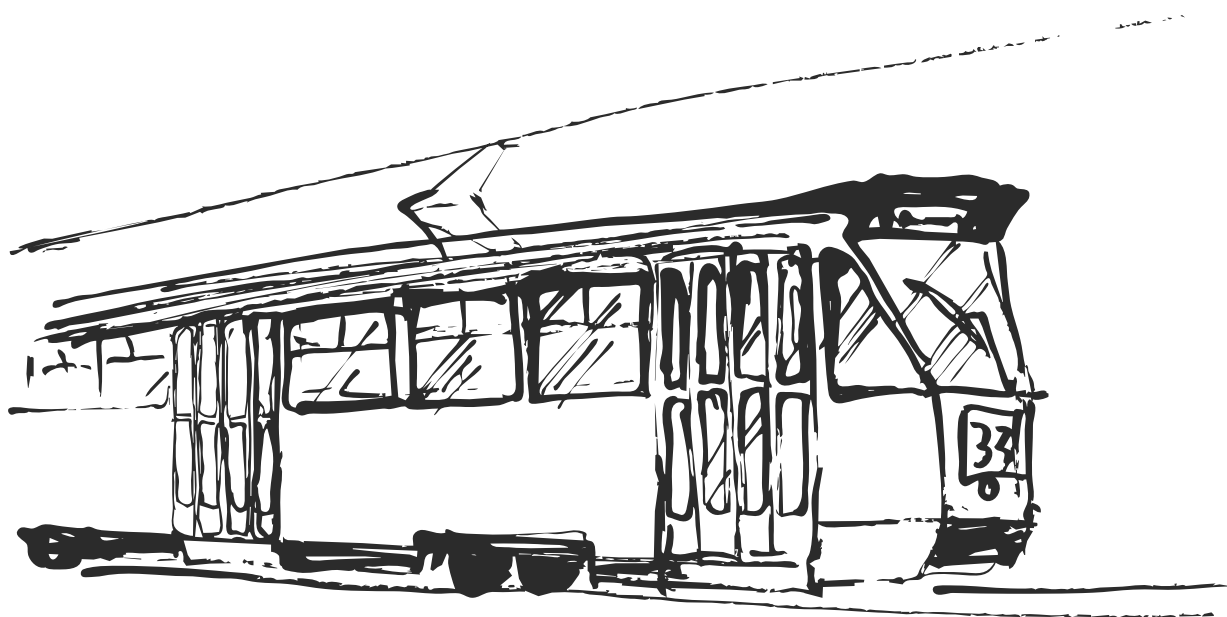
SZKŁANE OCZY



Magdalena Krakowska

Szklane oczy

ilustracje autorki



ISBN 978-83-272-4448-2



© Copyright by Magdalena Krakowska, 2015

Redakcja i korekta: Katarzyna Wróbel

Opracowanie techniczne: Krzysztof Krakowski

Postacie występujące w książce są fikcyjne.

ISBN 978-83-272-4448-2

Spis treści

1	Wrzesień — Bielany, koty, ozon, sen o kosmicznym dziecku, rajstopy i literatura	1
2	Październik — ojciec, zabójca marzeń	17
3	Listopad — gołębie, kamienie w rękach, ławka Karasia, ceramiczne zęby	21
4	Grudzień — wspomnienia świąteczne	31
5	Styczeń — PCK, Julia i naleśniki, bajka o drzewie, trwałość produktu, pan w pociągu	33
6	Luty — zejść na psy	43
7	Kwiecień — wspomnienia szpitalne Antoniego, egzystorette, grupa, adopcja, depresja	45
8	Maj — anioł przy Centrum Olimpijskim i szkoła latania, czy ksiądz kłamie	57
9	Czerwiec — lody i baloniki, szlaming, sekta, pięść małpy, kolega z Chicago	63
10	Lipiec — kiszka u Marka, kobieta — puste naczynie, glebogryzarka, teleportacja	73
11	Sierpień — onkolog, miejsce na Aldonie, hazardzista	81
12	Wrzesień — wyrozumiałość, melancholia, łyż na asfalcie	93
13	Październik — kaczki nad stawem	101
	posłowie	105

*„Byli inni przede mną. Przyjdą inni po mnie,
albowiem życie wiekuiste, a śmierć płonna.
Wszystko jak sen wariata śniony nieprzytomnie —
serwus, madonna.”*

K.I. Gałczyński

1929

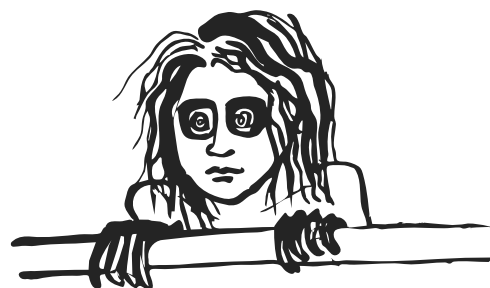
Wrzesień — Bielany, koty, ozon, sen o kosmicznym dziecku, rajstopy i literatura

MAREK z kubkiem kawy w dłoni odpoczywał na kanapie, gdy jego uszy wychwyciły z powodzi rozmaitych dźwięków tajemniczy, cichy śpiew. Dochodził z łazienki. Zaciekawiony podszedł do drzwi i powoli, ostrożnie je uchylił. Ze szpary buchnęła żółtawa ciepła para wodna, przez której kłęby początkowo nie mógł nic dostrzec. Niosła zapach wodorostów. Po chwili przerzedziła się i Marek z przerażeniem ujrzał zarys postaci nagiej kobiety, która siedząc w wannie, wpatrywała się w niego dwiema kamerami, umieszczonymi w miejscu przeznaczonym dla oczu. Migawki pracowały, zaznaczając swoje ruchy cichym dźwiękiem. Rzucił w nią kubkiem z kawą, który miał w ręku. Kobieta rozchyliła usta i wchłonęła lecący przedmiot. „Śledzą mnie. Rejestrują każdy mój ruch!” — pomyślał. Krzyknął i zasłonił twarz przedramieniem. Nie pozwoli się filmować! Zrobił krok do przodu, gotowy do ataku, ale jego stopa osunęła się i wpadł w szczelinę o poszarpanych krawędziach, która pojawiła się między progiem łazienki a wanną. Leciał w dół, łapiąc mroźne powietrze w spazmatycznie pracujące płuca i widząc w dole przelatujące klucze ptaków na tle niebieskiej nieskończoności oceanu. Na dole, pod powierzchnią wody, czekali na niego oprawcy. Obudził się, oddychając szybko i kopiąc kołdrę.

Prędko zjadł śniadanie i wybiegł.

„Nie wiem, co przyniesie tegoroczna jesień, ale mam nadzieję... nawet nie wiem na co, ale czuję, że ją mam. Takie wewnętrzne drżenie, jak przed podróżą...” — pomyślał Marek. Wysiadł z tramwaju numer 33 i ruszył wzdłuż ulicy Reymonta.

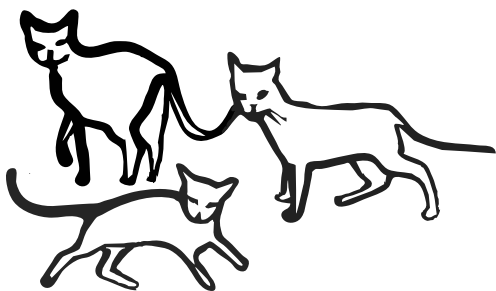
Był pogodny wrześniowy dzień. Powietrze pachniało wilgotną ziemią i opadłymi liśćmi. Słońce, tak



rzadkie o tej porze roku, grzało, a ptaki śpiewały, buszując w mijanych przez niego żywopłotach.

Marek szedł powoli w kierunku ulicy Skalbmierskiej. Przyciskał ramieniem gazetę, którą zamierzał przejrzeć, gdyby czas oczekiwania na umówione spotkanie się przedłużał. To tu. Stał przed szarym trzypiętrowym budynkiem. Do klatek schodowych prowadziły asfaltowe, ciemne, popękane chodniczki i kilka połamanych betonowych stopni. W małych ogródkach, którymi zajmowali się mieszkańcy parterowych mieszkań, kwitły jesienne kwiaty, a na ocienionym starymi klonami podwórku bawiło się kilkoro dzieci. Na ławkach, w nielicznych plamach słońca, wygrzewali się mieszkańcy okolicznych domów. Z klatek schodowych co jakiś czas wychodził ktoś, pozdrawiając siedzących i zatrzymując się na krótką pogawędkę. Tak, żeby zamienić kilka słów. Pytali o zdrowie, o najbliższych, komentowali pogodę. Widać było, że wszyscy znali się od lat i stanowili żywą społeczność.

— Stara Warszawa. Lubię takie klimaty — mruknął do siebie Marek i usiadł na wolnej ławce niedaleko wejścia do trzeciej klatki.



Rozprostował gazetę, zerknął na nagłówki i właśnie decydował się, od którego zacząć, kiedy uchwycił głosy rozmawiających mieszkańców. Spojrzał w tym samym kierunku. Na ławce po lewej stronie, oddalonej o kilka metrów, siedziało dwoje starszych ludzi. Ich rozmowa przyciągnęła Marka uwagę:

— Nie, dziękuję. Ja to wódki do ust nie biorę, Anatonu — broniła się pani.

— A jak Franek do ciebie przychodził, to wódka zawsze była — przekomarzał się jej towarzysz z nutą pretensji, popijając z butelki ukrytej w papierowej torebce.

— Ale on podobno wyjechał — próbowała odwrócić jego uwagę.

— A, no nie wiem, ale jak przychodził, to wódka dla niego była — zagadywał uparcie, ponownie częstując.

— Bo on koty lubił. Ja mam pięć, a jeszcze do piwnicy chodzę karmić.

— Dałabyś spokój, tylko smród.

— Jaki tam smród! Ja to wszystko wietrzę. U mnie do pierwszej w nocy okno otwarte. Jedna taka dziennikarka mówiła, że ona już dwanaście lat chodzi karmić do piwnicy. Ludzie ją przeklinali, to ona wzięła te koty do domu. Wykształcona kobieta, dziennikarka.

— Kopnięta... — westchnął, biorąc kolejny łyk.

— Szesnaście wzięła. Mąż marynarz — zaznaczyła z uznaniem w głosie rozmówczyni.

— To dla niego dobrze, pewnie by nie wytrzymał tego smrodu. Jedni kochają koty, a inni nie. I ci chcą żyć, i ci — komentował filozoficznie, kiwając głową.

— Ale on lubił te koty. Dwa pokoje kotom oddali. Czteryście złotych miesięcznie na samą karmę wydawali. Mnie wychodzi sto siedemdziesiąt. Wódki nie mogę, ale to wino dobre... — Pani pociągnęła duży łyk wina z butelki wyciągniętej ze swojej torby. — Tylko ja mam słabą głowę. Po trzech kieliszkach to ja już nie wiem, co się ze mną dzieje. Ale to jakieś dobre. Za granicą robione, ale kosztowało tylko dziewięć dziewięćdziesiąt. Dobre, bo zagraniczne. Buty też mam zagraniczne. Chińskie. — Kobieta wyciągnęła stopę, by zaprezentować pantofelki.

— To ile one kilometrów z tych Chin zrobiły?! — zakrzyknął z podziwem jej towarzysz.

— Ale oni to dobrze buty robią. Takie wygodne! Jakbym na nie jeszcze trafiła, od razu bym wzięła dwie pary.

— A mój Bari to zżerał wszystkie buty. Taki był! — ożywił się pan Anatol.

— Nie ma go już?

— Już dawno go nie ma. Ugryzł tę z trzeciego piętra, nie był szczepiony. Ona zadzwoniła na policję. Przyjechali, jakiś zastrzyk mu dali, zabrali i nie ma psa. A ta krowa zdrowa chodzi.

— Ale podobno ten jej powiesił się na pasku — przypomniała sobie pani Gienia.

— Tak. Na ogrodzeniu budowy tego nowego osiedla naprzeciwko cmentarza.

— Pewnie z miłości... — westchnęła kobieta.

— Tak, akurat. Tyle tej miłości miał w sobie, że się zabił. I ludzie też go bynajmniej nie kochali. Ja to go mało ze schodów nie zrzuciłem.

— A pan, panie Anatolu, to by mi wreszcie zamurował tę wentylację — zmieniła temat pani Gienia.

— No trzeba, trzeba. Dwie cegły wystarczą. Mam na działce — rzekł, przechylając kolejny raz papierową torebkę.

— Jeszcze ten smród, co puszczają, bym przeżyła, ale oni założyli podsłuch! — Pani również poczęstowała się winem.

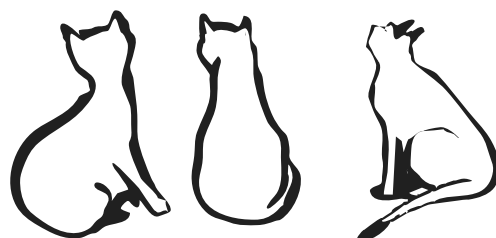
— Przecież to tak nie można! — podniósł z oburzeniem głos pan Anatol.

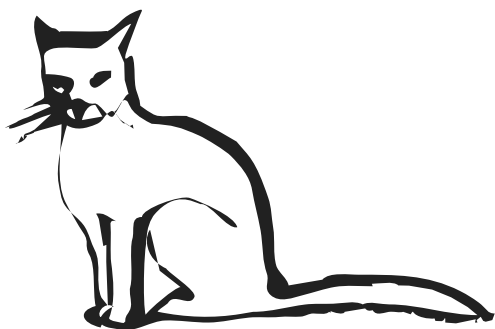
— Ale oni z jakiegoś ef-bi-aj czy ka-gie-be, to są byli wojskowi, tajniacy. Nie dość, że podsłuchują, to jeszcze mi ozon wpuszczają tą wentylacją. Ozon, jak wiadomo, uszkadza mózg i płuca. Chcą mnie wykończyć! — gestykulowała z coraz większą emfazą pani.

— To im przy tym głośną muzykę pani puści — poradził pan Anatol.

— Tak też robię! Ja im Radio Maryja stawiam przy samym podsłuchu. Niech sobie nagrywają i podsłuchują! Może winka, panie Anatolu?

— Nie, dziękuję, pani Gieniu, ja winka do ust nie biorę. To dla kobiet.





Marek uśmiechnął się. A więc poznał już dwoje swoich ewentualnych sąsiadów. Obok, na ławce po jego prawej stronie, siedział w rozluźnionej pozie mężczyzna z ciemną brodą, okalającą miłą twarz, w dżinsach i rozpiętej koszuli w kratę i tak jak Marek czytał gazetę. Obok niego stała puszka piwa. Do mężczyzny podbiegła kilkuletnia dziewczynka.

— Nie lubię cię! Jesteś nieuczciwy! — usłyszał jej zapłakany głos.

— Niczego ci nie obiecywałem i dotrzymałem słowa!

— To ja ci teraz obiecuję, że kupisz mi łoda! — krzyknęła. — I to teraz! — Z groźną minką złapała go za rękę, próbując ściągnąć z ławki.

Rozbrojony taką logiką, mężczyzna podniósł się z ociąganiem i ruszyli razem w kierunku pobliskiego sklepu.

Zza rogu pewnym krokiem wyszła niewysoka kobieta ubrana w oficjalną, granatową garnsonkę i czerwono-białą apaszkę pod szyją powiewającą jak flaga szturmującego oddziału. Upięte w wysoki kok włosy dodawały jej powagi. Prawą ręką przyciskała do siebie teczkę z dokumentami. Wstał i wyszedł jej na spotkanie.

— Dzień dobry pani. Nazywam się Marek Ostrowski.

— Borowska, witam pana. Piękny dzień! Zapraszam. To jest mieszkanie numer czterdzieści cztery. Ostatnie piętro. Jest naprawdę śliczne: jasne, zadbane i kuchnia niedawno była odnawiana. Będzie się panu podobało — zachęcała, otwierając drzwi do klatki schodowej.

— Jaki jest ostateczny koszt?

— Tysiąc trzysta złotych plus opłaty eksploatacyjne: energia elektryczna, gaz i ewentualne dodatkowe zużycie wody. Pytał pan o Internet. Właściciel powiedział, że jest.

— To bardzo dobrze.

— W takim razie razem z dodatkowymi opłatami miesięczny koszt powinien się zamknąć w granicach tysiąca pięciuset złotych.

Na klatce panował półmrok. W powietrzu unosiły się zmieszane ze sobą zapachy przygotowywanych potraw i płynu do mycia podłóg. Marek wchodził po schodach za przedstawicielką agencji nieruchomości, wpatrując się mimowolnie w oczko w rajstopach na prawej łydce. Zdziwił go ten brak perfekcji. Dochodząc do trzeciego piętra, Marek czuł już lekką zadyszkę. Pomyślał, że czas skończyć z paleniem, i przypomniał sobie wszystkie obietnice, które składał sobie za każdym razem, kiedy był zmuszony do większego wysiłku niż wejście do metra czy tramwaju. „Dobrze, że ten budynek ma tylko trzy piętra, wyżej bym nie wszedł” — pomyślał z ulgą, zatrzymując się przed drzwiami mieszkania.

— To tu. Proszę wszystko dokładnie obejrzyć pod kątem pana potrzeb. Jeśli miałby pan jakieś pytania, chętnie odpowiem. — Agentka z uśmiechem wskazała Markowi wnętrze mieszkania.

— Dziękuję — rzucił i wszedł niepewnie.

W środku pachniało pastą do parkietów. Najpierw skierował się do kuchni i wyjrzał przez kuchenne okno. Dla Marka najważniejszy był ładny widok z okna. Poza tym istotne były klimat, nastrój i zapach. Za oknem, w dole, dostrzegł ławkę, na której przed chwilą siedział. Odwrócił się i ogarnął kuchnię wzrokiem. W wąskiej, świeżo pomalowanej, przytulnej kuchni wyłożonej beżową terakotą po jednej stronie stał rząd białych, bezpretensjonalnych szafek z wbudowaną dwupalnikową płytą gazową, a po drugiej usytuowano starą, żółtawą lodówkę. Między oknem i lodówką stał, przytulony do ściany, malutki stolik i dwa taborety, wsunięte pod blat. Łazienka też go nie zaskoczyła. Mała wanna z dwoma rzędami białych, nierówno położonych kafelków, bateria wannowa w starym stylu, ze słuchawką odkładaną na widełki, niewielka umywalka, sedes, pralka i wieszak na ręczniki — standardowe wyposażenie. Tyle właśnie potrzebował. Kątem oka zerknął tylko, czy w łazience za progiem nie ma szczeliny w podłodze, ale podłoga była kompletna. Okna pustego, przestronnego, wyłożonego starym, trzeszczącym parkietem salonu wychodziły na szeroki trawnik. Pod oknem rósł lekko pożółkły o tej porze roku kasztanowiec, którego gałęzie, ozdobione zielonymi, kolczastymi kulami owoców, częściowo zasłaniały okno. W rogu pokoju, w oczekiwaniu na pytania, stała przedstawicielka agencji nieruchomości.

— Podoba mi się tu — powiedział, uśmiechając się, Marek.

— Poza wyposażeniem łazienki i kuchni jest jeszcze biurko, szafa i pojedyncze łóżko w sypialni, ale właściciel może to zabrać, jeśli jest panu niepotrzebne.

— Dziękuję. Zadzwoń do pani jutro, jeśli to możliwe. Chciałbym się zastanowić.

— Oczywiście. Jestem od rana w firmie. Będzie pan miał masę czasu na podjęcie decyzji. Zapraszam. Oto moja wizytówka. — Wręczając biały kartonik, kobieta stanęła w drzwiach, co miało zasugerować chęć szybkiego opuszczenia lokalu.

Nazajutrz Marek potwierdził swój wybór, podpisał umowę, wpłacił niewysoką kaucję i dostał klucz. Pojechał się spakować. Większość jego rzeczy zmieściła się w dużej walizce na kółkach, która towarzyszyła mu w kilku zagranicznych podróżach. Resztę spakował w duże foliowe torby. To jego majątek. No i jeszcze całkiem przyzwoity laptop, oczywiście Apple. Inne typy nie były brane pod uwagę. Zadzwoił do Antoniego.

— Jak się masz, kochany zbawco dusz? Jak zdrowie?

— Poza tym, że czasem serce bije nierówno jak szalony perkusista, to fantastycznie. W moim wieku jeśli budzisz się i nic ci nie dolega, to znaczy, że nie żyjesz — żartował ksiądz. — Czego potrzebujesz?

— Masz czas dziś wieczorem? Potrzebuję twojego dużego samochodu i ciebie za kierowcę.

— O szóstej mam mszę, ale o siódmej jestem już wolny. Przebiorę się i podjadę. Będę koło siódmej dwadzieścia pięć.

Antoni był bardzo punktualny, w przeciwieństwie do Marka, dla którego czas stanowił pewnego rodzaju siłę oddzielającą wszystkie zdarzenia, rozciągającą je i utrzymującą w konkretnych miejscach. Usłyszawszy wczoraj sformułowanie „masa czasu”, zaczął nawet podejrzewać, że czas ma masę, która jest sumą wszystkich zdarzeń rozciągniętych w jego granicach. Wydało mu się to bardzo logiczne. Być może kiedyś będzie mógł to udowodnić. Ostra dyscyplina w gospodarowaniu czasem wykluczała, jego zdaniem, możliwość zaistnienia zdarzeń nieprzewidzianych, nieplanowanych oraz przypadków, czyli takich zdarzeń, które nie miały prawa mieć miejsca, a jednak się zdarzyły i zmieniły w oczywisty sposób spodziewaną masę czasu. W opinii Marka wszelkie braki w perfekcji to uchylona furтка, przez którą może wejść coś nowego. Punktualność przyjaciela traktował jako niegroźne dziwactwo. Antoni pojawił się dokładnie o siódmej dwadzieścia pięć. Pomógł Markowi znieść lżejsze rzeczy. To, co nie zmieściło się w bagażniku, jechało na tylnym siedzeniu jego starego srebrnego volvo.

— Mareczku, czy to już cały twój dobytek? Myślałem, że będzie tego więcej. Ludzie zwykle lubią gromadzić przedmioty — zagadnął Antoni.

— Niestety, to wszystko. Jakiś polityk mówił, że jeśli w wieku czterdziestu lat nie masz miliona na koncie, to znaczy, że jesteś nieudacznikiem. Co mam zatem w świetle tych słów myśleć o sobie? Mam już trochę więcej lat.

— Że to już ciebie nie dotyczy.

— Pocieszające — uśmiechnął się Marek.

Podobał mu się sposób myślenia przyjaciela. Był on z tych, którzy widzą szklankę zawsze do połowy pełną, a nawet całkowicie pełną.

— Od nędzy do pieniędzy, jak mówiła moja babcia — żartował Antoni.

— I co — doszła?

— Idzie... czy płynie... jest już dawno tam, po drugiej stronie życia.

— Życia? — zapytał Marek z zadumą w głosie.

— Tu życie i tam życie. Lecz tam, na drugą stronę, nikt nie zabierze ze sobą nagromadzonych tu przedmiotów. To tylko balast. Żyj, Marku, z polotem i zdaj się na los, żeby to, co przynosi, traktować jako coś oczywistego, jak kawałek własnego ciała, jak rękę czy nogę. I nie daj się. Przeciwności przyspieszają rozwój.

— Rozwój. Co to jest? Co na mecie? Co jest nagrodą? — wypytywał Marek.

— Nagrodą jest lekkość bytu, a na mecie — szczęście i poczucie spełnienia.

— Brzmi interesująco. A co powoduje rozwój?

— Pewnie jakieś wydarzenia, które sprawiają, że nie da się już żyć dalej w dotychczasowy sposób.

— No ale jak nic takiego się nie zdarza?



Tego wieczoru Marek był dziwnie znużony. Zasnął w ubraniu, przykryty płaszczem. Torby i walizka stały obok łóżka, jakby sprawowały nad śpiącym milczącą opiekę. Śnił, że z jego przepastnej walizki wyskoczyło dziecko, które przeniosło go w przestrzeń kosmiczną i prezentowało tam swoje umiejętności. Latało wokół niego, wydłużało się, wyginało, malało i rosło bez granic. Swoje oko przenosiło do odległych galaktyk i opowiadało mu o życiu tamtejszych mieszkańców. Dzieło się w pionie, otwierało, zamykało, odchyłało skórę i pokazywało, że ma w środku takie samo niebo, jakie jest dokoła. Mogło zamieniać się w wiele takich samych dzieci i z powrotem, w jedno. Przytulało się do niego i śmiało się tak, że słyszał cały kosmos. Było radosne, ale skupione. Mogło całkowicie się rozproszyć, a potem powrócić do swojej postaci. Mogło też przybrać inną. Jego ciało nie miało konkretnego kształtu. Mogło wykreować psa, którego potem zamieniało w kota. Bawiło się z Markiem w gwiazdną ciuciubabkę. Potem pokazało mu świat podwodny. Okazało się, że oddech nie jest tam potrzebny. Markowi wydawało się, że to była dziewczynka, ale nie był tego pewny.



Obudził się w środku nocy. „Dlaczego sny nigdy nie mają puenty?”.

W jego jeszcze owianej snem głowie pojawiały się i znikwały chaotyczne myśli. Na zewnątrz szalał silny wiatr. Gałęzie drzewa stukały nieregularnie w okno. W świetle księżyca wyglądały jak palce dziwnej istoty wynurzające się z mglistej nocy. Resztę nocy spędził, leżąc w łóżku. Próbował zasnąć. Wydawało mu się, że słyszy jakieś podniesione głosy. Nie był pewien, czy śni, czy czuwa, czy te głosy są rzeczywiste, czy tylko przyniosła je pamięć. Leżał z półprzymkniętymi powiekami i wpatrywał się w sufit. Wydawało mu się, że widzi na nim mapę swojego czasu, zawiniętą na obu brzegach. Na mapie widział porozrzucane wydarzenia ze swojego życia. Jego świadomość mogła pływać od jednego do drugiego, obserwując sieć różnych decyzji, które spowodowały ich zaistnienie. Pod tą mapą była druga warstwa,

tylko częściowo widoczna. Na tej ukrytej mapie widział sytuacje, które mogłyby się wydarzyć, gdyby jego decyzje były inne. Nie chciał jej teraz oglądać. Miał dość rozterek. Wrócił na pierwszą, tę bardziej widoczną, z wydarzeniami, które przeżył. Była ona częściowo niedostępna. Tam, za zwiniętymi jej brzegami, znajdowała się jego przeszłość, której nie pamięta, i przyszłość, której nie zna. Marek był już trochę rozbudzony, ale do jego uszu cały czas dochodziły głuchoe odgłosy kłótni z któregoś z sąsiednich mieszkań. Przyniosły mu dalekie wspomnienia. Czas cofnął się do okresu jego dzieciństwa, a pamięć przyniosła mu obraz sprzeczących się rodziców. Jego świadomość popłynęła do tamtych dni. Kłócili się często w nocy, myśląc, że Marek śpi, ale on czasem nie spał. Rodzice mieszkali w bloku na Piaskach. Ojciec nadal tam mieszka. Mama kilka lat temu wyszła z domu i już nigdy nie wróciła. Poszukiwania nie dały rezultatów. Zaginęła. Cierpiała na depresję. Marek rzadko odwiedzał ojca. Nie lubił się z nim spotykać. Można powiedzieć, że nie lubił ludzi. Starając się nie podawać nikomu ręki, zrujnował większość potencjalnych kontaktów towarzyskich. Najbardziej cierpiał w tramwajach i autobusach, kiedy to w chwilach szczytu był taki tłok, że dotykali go stojący obok współpasażerowie. Nie znosił również ich zapachu. Zdiagnozował u siebie fobię społeczną. Przeczytał, że na tę przypadłość cierpi pokaźny procent ludzkości, i przestał się tym przejmować. Oglądając u ojca reportaż telewizyjny z dotkniętej wirusem ebola Afryki, zauważył, że w rejonach zagrożonych zarazą ludzie otrzymują zalecenie, aby nie dotykać się wzajemnie podczas przechodzenia obok siebie. Marek byłby bardzo zadowolony, gdyby takie zasady obowiązywały na warszawskich ulicach, w środkach transportu miejskiego i w sklepach. Jego największym przyjacielem był laptop.

Nazajutrz, sprawdzając pocztę internetową, znalazł reklamę: „Wyobraź sobie, że spotykasz ludzi myślących i czujących podobnie, kierują się tymi samymi wartościami i mają zbliżone cele. Oni tak jak ty szukają prawdziwej miłości. Szukają człowieka, do którego będą mogli wracać każdego dnia. Zarejestruj się na portalu randkowym dla ludzi z wartościami.” Jego uwagę przykuł na moment zwrot „dla ludzi z wartościami”. Towarzyszące tej reklamie zdjęcie przedstawiało tulącą się parę, co spowodowało, że twarz Marka wykrzywiła się z niechęcią. Marek chciał wyrzucić tę wiadomość, ale zawahał się. Od dawna nie miał żadnych ciepłych kontaktów z kobietą. W przypadku fobii społecznej jedynym rozwiązaniem jest znajomość wirtualna. Zostawił sobie tę możliwość. Może jutro spojrzy na to jeszcze raz. Wybiegł do pracy. Piętro niżej usłyszał zza drzwi:

— Jak jeszcze raz kupisz Tosi do zabawy zestaw, w którym jest mop, wiadro i szmata, to dokupisz jeszcze Kena, żeby szorował podłogę!

Rozbawiło go to. „Kobieta z charakterem” — pomyślał. Na pobliskiej stacji benzynowej kupił kanapkę i kawę. Jadł śniadanie, idąc powoli w stronę przystanku tramwajowego.

Wracając z pracy, wstąpił odwiedzić księdza, chciał mu podziękować za wczorajszą po-

moc. Przyjaźnił się z nim od lat. Choć właściwie był to przyjaciel jego rodziców, dorastający z nimi na jednym podwórku. W liceum miał dziewczynę, która mieszkała w sąsiedniej klatce. Miała wadę serca. Założyli jej w dzieciństwie jakiś rozrusznik czy coś jej wszyli, żeby pomóc temu słabemu sercu. Pewnego dnia poszła z Antkiem zimą na łyżwy na stawy Brustmana, przewróciła się i umarła. Serce przestało bić i już. Podobno za szybko rosła i jakieś przewody zrobiły się za krótkie, rozłączyły się. Dokładnie nikt nie wie. W każdym razie od tamtego zdarzenia Antek wycofał się z podwórkowego życia. Potem poszedł do seminarium, a po latach dostał probostwo w jednej z sąsiednich parafii. Marek czasem chodził do niego z mamą na mszę. Ojciec nie należał do religijnych. Podobno kiedyś był komunistą.

Marek miał bardzo niezależny charakter. Wszystkie istotne dla siebie decyzje podejmował samodzielnie, ponosząc ich konsekwencje. Właśnie teraz, na Bielanych, wracał do normalnego życia po kilkuletniej przygodzie z pewną grupą. Dlaczego do niej trafił? Szukał wewnętrznej równowagi i ukojenia po przykrych doświadczeniach, których był uczestnikiem. Kolejny powód był taki, że nie osiągnął nic, co utwierdzałoby go w poczuciu własnej wartości. Stąd poszukiwał środowiska, które by go akceptowało, darzyło sympatią, szanowało, a nawet podziwiała. Chciał czuć się potrzebny tak jak inni, których tam spotkał. Szukał szansy na stanie się lepszym. W sumie człowiek jest z natury dobry i działa z pozytywnych pobudek. Chce uczynić coś przydatnego, wielkiego, chce obronić, ochronić, krzewić sprawiedliwość, zdobywać i przekazywać wiedzę, zbawić wszystkich i uczynić szczęśliwymi.

Marek właśnie do takich ludzi należał. Jak tam trafił? Szedł ulicą Kasprowicza i natknął się na odbite na ksero ogłoszenie: „Kursy. Relaksacja i medytacja — jak sobie radzić ze stresem”. Tego pragnął się wtedy nauczyć. Trafił na grupę osób, które od kilku już lat praktykowały te metody i były ze sobą zżyte. Oprócz medytowania czytali i komentowali wspólnie Biblię. Robili wrażenie bardzo serdecznych i wrażliwych. Z biegiem czasu Marek znalazł w nich oddanych przyjaciół. Wśród nich czuł się kimś istotnym. Pochwały, których mu nie skąpono, dawały mu, tak niezbędne, poczucie własnej wartości, tym bardziej że „na zewnątrz” nie znał nikogo, dla kogo byłby ważny. Zawsze jednak w takiej społeczności funkcjonuje ktoś w rodzaju guru, kto z idealistycznego podejścia członków czerpie korzyści o różnym charakterze. Tak było i tym razem. Po kilku latach misternie plecione intrygi i manipulacje założyciela grupy stały się dla Marka zbyt oczywiste. Starannie zachowywane pozory rozwoju duchowego i osobistego wiodły do kompletnego zniewolenia umysłów. Marek miał wrażenie, że z czasem członkowie tej małej społeczności zaczęli przypominać drewniane pajacyki, poruszane za pomocą sznurków, za które pociągał prowadzący zajęcia.

Dlaczego nie odszedł wcześniej? Zwlekał z odejściem, bo nie chciał utracić kontaktów z poznanymi tam ludźmi. Stali mu się bliscy, choć nieraz irytowały go ich euforyczne zachowania i nadmierne okazywanie sobie „miłości”. Często, patrząc prosto w oczy, mówili: „kocham

cię”, przytulali się i obejmowali, przyrządzali sobie nawzajem kawy i herbaty, częstowali się wzajemnie różnymi smakołykami. Marek podejrzewał, że rekompensują sobie w ten sposób brak właściwych relacji w ich własnych rodzinach, a czasem brak rodziny. Tak było też w jego przypadku. W sumie takie zachowania należały do miłych, szczególnie dla Marka, gdyż jako mężczyzna posiadał pewne przywileje. Kobiety w grupie miały za zadanie spowodować, by mężczyźni czuli się w niej jak pączki w maśle. Nie odchodził też dlatego, że żał mu było poświęconego czasu, energii i zainwestowanych pieniędzy, których już nie odzyska, a nadzieja na zdobycie kolejnych stopni wtajemniczenia była ciągle podsycana. Prowadzący podtrzymywał wrażenie, że już jutro zostanie przed nimi odkryta tajemnica istnienia. To wstrzymywało decyzję Marka o odejściu do owego „jutra”, tajemnica jednak była odsłaniana po odrobinie, a czas oczekiwania na jej pełne ujawnienie stale się wydłużał. Przewodnik grupy powtarzał, że nie są jeszcze gotowi, i wyznaczał coraz trudniejsze i coraz bardziej czasochłonne zadania, które miały tę gotowość spowodować.

Po czterech latach Marek zdecydował, że odejdzie z tego miejsca. Zdał sobie sprawę, że to wszystko dawało mu jedynie pozory oparcia i złudne nadzieje. Niech zweryfikuje to życie. Skończył z tym. Przez te kilka lat odciął się od dawnych znajomych i przyjaciół — takie było zalecenie w grupie. Teraz również nie chciał wracać do przeszłości. Pragnął natomiast rozpocząć nowe życie. To taki popularny, banalny zwrot, oznaczający chęć odrzucenia starych nawyków i wartości. Realizacja tego celu jest jednak niezwykle żmudna. Jednym z elementów tej zmiany była przeprowadzka do nowego miejsca, bo tam, gdzie poprzednio mieszkał, czuł się obserwowany. Czasem zdarzały się takie pozornie przypadkowe spotkania i rozmowy w miejscach, w których dotąd nie widywał członków grupy. Chciał zniknąć im z oczu.

Po drodze kupił pudełko czekoladek. Ksiądz zaprosił go do siebie. Popijając ciepłą, aromatyczną zieloną herbatę, zwierzył się:

— Już nie należę tam, wiesz, do tej grupy, o której ci kiedyś mówiłem.

— Coś się stało? — Antoni z zaciekawieniem uniósł brwi i spojrzał badawczo na swojego gościa.

— I tak, i nie. Na początku wszystko wydawało się takie spontaniczne, szlachetne i piękne, ale z czasem zrobiło się smutne, przymusowe i męczące. Założyciel wprowadzał coraz dziwniejsze zasady działania grupy. Powoli podporządkowywał sobie każdego z nas. Pod koniec mojego uczestnictwa w spotkaniach większość osób w grupie zajmowała się akwizycją paralełków, którymi ten człowiek handlował. Nie miało to już nic wspólnego z chwalebными hasłami i roztaczanymi perspektywami, które słyszałem na początku.

— Witam zatem w realnym świecie! — zawołał uśmiechnięty Antoni. Księdzu wyraźnie spodobał się taki obrót sytuacji. Po kilku rozmowach z Markiem na temat grupy miał wątpliwości co do intencji jej założyciela. — Cieszę się. Martwiłem się o ciebie, ale jednocześnie

wiedziałem, że dasz sobie radę.

Marek zastanowił się przez moment, co może oznaczać dla księdza sformułowanie „realny świat”, skoro przez funkcję, jaką pełni, balansuje gdzieś na granicy światów. Rozważył też własne rozumienie tych słów.

— Dużo czasu zajęło mi rozpoznanie tego zjawiska, ale sporo się nauczyłem. Napatrzyłem się tam na różne formy zarządzania ludźmi. Kiedyś czytałem w jakiejś tybetańskiej księdze, że jedną z cech charakteryzujących mistrza jest jego bezinteresowność oraz to, że nie ingeruje w życie prywatne swoich uczniów. Według tego opisu mistrzem to on nie był. Był kimś wyjątkowym jedynie w grupie, którą stworzył, a na zewnątrz prezentowałby się ze swoimi poglądami raczej mizernie — stwierdził Marek. — Mam to już za sobą — szepnął.

— Wiem, szukałeś odpowiedzi na swoje dylematy, ale raczej dostaniesz ją dzięki zdarzeniu, odczuciu lub czyjeś przypadkowej wypowiedzi. Jeśli ktoś da ci konkretną odpowiedź, będzie ona zawsze tylko przybliżeniem. — Antoni spojrzał na zatroskanego Marka i klepiąc go po ramieniu, poradził: — Uśmiechnij się! Nie patrz już za siebie. Przecież kiedy idziesz w nocy z latarką, nie świecisz do tyłu, żeby zobaczyć, przez co przeszedłeś, tylko oświetlasz drogę przed sobą. Szukaj własnej drogi, tak jak to robiłeś do tej pory. Samo poszukiwanie jest fascynujące. I pamiętaj, że nikt nie da ci odpowiedzi na twoje najważniejsze pytania. Nawet ja. — Uśmiechnął się i puścił oko do Marka. — Sam musisz je znaleźć. — Stawiając na stole pokrojone drożdżowe ciasto, zapytał: — A co u ciebie prywatnie? Masz nowych przyjaciół? — Ksiądz mówił niskim, ścisłym głosem, jakby odkrywał wielką tajemnicę. I zawsze patrzył w oczy.

— Tylko starego kolegę z pracy, ale to nie jest przyjaźń — odpowiedział Marek. — Nie, nie mam żadnej bratniej duszy, ale chciałbym spotkać kogoś... chodzi o kobietę, pewnie nie rozumiesz.

— Staram się, kochany, choć moja identyfikacja z płcią nie jest już dla mnie samego oczywista. Z męskich przyjemności zostało mi już tylko golenie — roześmiał się ksiądz.

— Czy to znaczy, że można być mężczyzną, ale się nim nie czuć?

— To znaczy, że można być mężczyzną, ale nie przywiązywać do tego większej wagi.

— Naprawdę? — zapytał Marek, trochę rozbawiony tym stwierdzeniem.

— Można. Ja już nie przywiązuję, choć nie zawsze tak było. Tak, głód jest siłą. Prawdopodobnie masz dwie możliwości: albo pójdziesz drogą tego głodu, albo drogą ciasteczka.

— Jaka między nimi różnica?

— Jak jesteś wygłodzony, jesz, co popadnie, ale jeśli raz spróbowałeś ciasteczka, chcesz jeść już tylko ciasteczka co najmniej tak dobre jak to, którego zakosztowałeś.

— Czyli nie wolno jeść ciasteczek? — zgadywał Marek.

— Trzeba jeść tylko ciasteczka! — odpowiedział z figlarnym uśmiechem ksiądz.

— Jedno kiedyś spróbowałem. Było cudowne, ale pozostawiło gorzki smak w ustach. Chciałbym jeszcze raz skosztować.

— Stwórz obraz wymarzonej kobiety i cierpliwie czekaj — doradził ksiądz.

— Ale to będzie się działo tylko w mojej wyobraźni. — W głosie Marka zabrzmiała nuta wątpliwości.

— Jeśli nie uwierzysz w siłę wyobraźni, nic w twoim życiu się nie zmieni. Nic na lepsze. Wyobraźnia to pędzel, którym możesz namalować swoje marzenia. Jej siła jest o wiele większa niż siła pseudodziałań.

— A dlaczego nie radzisz mi modlitwy?

— Każdy twój ruch myśli jest modlitwą, każde marzenie i każde działanie. Bóg jest bardzo niestandardowy.

Leżąc wieczorem wygodnie, wyciągnięty na łóżku, Marek zaczął malować marzeniami obraz swej wyśnionej partnerki. Miała być piękna, wrażliwa, twórcza, kochająca, mieć niebieskie oczy, ubierać się w powiewne sukienki z falbankami i mieszkać w Warszawie. Nie poprzestał na marzeniach. Cechowała go niecierpliwość. Był człowiekiem czynu. Zarejestrował się w serwisie randkowym. Przybrał pseudonim: Adam42. Wypełnił rubryczki, obejrzał „ofertę” i obezwładniony ogromem możliwości, zamknął stronę, obiecując sobie, że następnego dnia przejrzy to z większą wnikliwością. Resztę wieczoru spędził na pisaniu notatek, aż w końcu, znużony, zasnął.

Rano, schodząc, znów usłyszał głosy zza drzwi. Kobieta i mężczyzna sprzeczali się. Zwolecił. Rozpoznał dźwięczny głos kobiety.

— Znowu wychodzisz na cały dzień! Przydałbyś się czasem w domu.

— Przydałbyś się! — przedrzeźniał mężczyzna. — Kalkulacja! Wszystkie kobiety kalkulują! Zawsze oceniają przydatność! — krzyczał.

Marek uniósł w podziwie brew na tak sprytnie przerzucenie przez mężczyznę uwagi z siebie na braki partnerki.

— Każdy kalkuluje — broniła się kobieta.

— Nie każdy!

— Przecież kalkulacja to zdrowy rozsądek — kontynuowała.

— Można mieć zdrowy rozsądek i nie kalkulować, ale kobiety z reguły tego nie rozumieją! One myślą te pojęcia. Zawsze kalkulują opłacalność! A ty jesteś w tym mocna!

— To powiedz, czy małżeństwo z tobą mi się opłaca?! — Próbowała podkreślić swoje poświęcenie.

— Z pewnością nie! — przyznał rozmówca.

— A czy jestem z tobą ze zdrowego rozsądku?!

— A, to na pewno nie! — zgodził się ponownie.

— No to co?!

— Bo u ciebie jest słabo ze zdrowym rozsądkiem, ale też i z kalkulacją! — Kobieta w obliczu takiego wniosku zamilkła.

„To tak jak u mnie” — roześmiał się i zbiegł ze schodów. Za otwartymi drzwiami klatki schodowej czekał kolejny piękny, słoneczny wrześnieowy dzień.

Efekty poszukiwań partnerki za pomocą Internetu znalazły swój finał. Zgłosiło się kilka pań o wrażliwej naturze, takiej bowiem Marek szukał, o czym wspomniał w opisie idealnej partnerki. Kilka pań było zainteresowanych jego wiekiem i stanem, więc dołączył do swojej charakterystyki: „Jestem normalnym facetem. Włosy i zęby mam własne. Mieszkam w Warszawie. Nie mam żony. Dużo czytam. Trochę piszę”. Z jedną z pań, która w dość przekonujący sposób przedstawiła swoją twórczą naturę, umówił się na chat na popularnym komunikatorze, ale bez kamery. Już i tak żołądek podchodził mu do gardła z emocji, a spocone palce ślizgały się po klawiaturze. Zapytał o rodzaj twórczości, jaki uprawia.

— No więc zajmuję się twórczością na bazie materiałów poliamidowych. Poddaję je obróbce malarskiej i wychodzą z tego prace o niewielkich rozmiarach, ale bardzo efektowne. — Płynnie wyrecytowała artystka.

Zbyt duża liczba fachowych określeń spowodowała, że Marek poczuł się zdezorientowany.

— Obróbce malarskiej, to znaczy... co pani robi? — dopytywał.

— No, po prostu maluję je — wyjaśniła pani.

— Jasne! Materiały poliamidowe? — dociekał uparcie.

— Rajstopy. Ja po prostu maluję na rajstopach. — To brzmiało już bardziej zrozumiale, ale było mało porywające.

— Ach! — westchnął.

— W sztuce wszystko, co wypływa z logiki, jest skazane na przepaść — rzuciła artystka wyjaśniającym tonem.

W tej sytuacji dość szybko rozmowę zakończył. Obawiał się, że zostanie zaproszony na wystawę prac. Ludzie robią teraz takie dziwne rzeczy. Słyszał o artyście, który maluje obrazy własnymi odchodami. Podobno wszystkie jego prace zostały sprzedane za ogromne sumy jeszcze przed namalowaniem. Jest bogaczem. Kolejna potencjalna partnerka w opisie swoich zainteresowań sugerowała, że jej hobby to literatura, ale miała zgoła inne zainteresowania:

— Teraz forsowany jest w literaturze nowy model kobiety, takiej, której chodzi o seks i orgazm. Co pan o tym sądzi? — zapytała niskim, zmysłowym głosem po uprzednim zadaniu kilku mniej konkretnych pytań.

— Żeby stwierdzić jego uniwersalność, musiałbym się przyjrzeć, jak ten model realizuje się wśród kobiet po sześćdziesiątce — odpowiedział przytomnie Marek na tak postawiony problem.

Zmysłowy głos tej kandydatki spowodował, że zrobiło mu się przyjemnie gorąco, ale był z natury nieśmiały. Nie potrafił rozmawiać o erotyce z kobietami, a co dopiero z obcymi. Uszy piekły go z emocji. Szybko się pożegnał i zakończył rozmowę. Nie podejmował już więcej prób poszukiwania partnerki tą drogą. Zlikwidował swoje konto w serwisie i temat przyjaznej duszy na razie przestał go nurtować. Analizując te dwie rozmowy, doszedł do wniosku, że w dzisiejszych czasach ludzie szukają jakiejś alternatywy dla zwyczajności. Tak jakby zwyczajność była wstydliva. Czasem te poszukiwania idą w bardzo niezwykłych kierunkach. Na ulicach inność, podkreślana demonstracyjnie zachowaniem, ubiorem czy makijażem, zaczyna być wyszukany rodzajem sztuki ulicznej. Przypomniało mu się, jak kilka miesięcy po tym, jak runęła jego nadzieja na szczęśliwe życie, wyjechał pod namiot, aby odetchnąć na łonie przyrody. Wybrał morze. Trafił na pole namiotowe gdzieś pod Koszalinem. Obok rozbiła namiot ciekawie wyglądająca dziewczyna. Była wysoka, opalona, o szczupłej, sportowej sylwetce. Miała długie dredy związane w imponujący węzeł, plecioną opaskę na głowie, ubrana była w luźne zielono-pomarańczowe ciuchy. Jedną rękę, aż po obojczyk, miała pokrytą tatuażami. Nosila w chuście niemowlę, które przez większość czasu ssalo jej pierś. Była sama. O świcie wywlekała z namiotu matę i ćwiczyła jogę. Z czasem zaczęli się pozdrawiać, a potem rozmawiać. Marek przypomniawszy sobie rozmowę z nią:



— Odważyłaś się tak sama z malutkim dzieckiem przyjechać pod namiot?

— Zawsze jeżdżę sama. Czasem mam wszystkich dosyć — odrzekła.

— Wszystkich? — zapytał Marek.

— Mój facet będzie tu jutro, więc nie wszystkich, ale dobrze jest i od niego odpocząć kilka dni. On uważa, że jest Jezusem. Dostaje jakieś przekazy. Fajny jest. Pokażę ci zdjęcie. — Wyjęła z haftowanego worka fotografię.

— O! Interesujący. Rzeczywiście, podobny. Przyjechałaś tu z Warszawy?

— Trudno powiedzieć — odpowiedziała zagadkowo dziewczyna.

— A gdzie mieszkasz? — dopytywał Marek.

— Nigdzie i wszędzie. Jeżdżę na rejnboły. To je-

dyne miejsce, w którym ludzie nie unikają mojego wzroku, niektórzy chodzą nago, wszystko jedno... Można tak spędzić całe życie, po prostu tak alternatywnie, nie zarabiając pieniędzy na dom i nie denerwując się, rozkoszować się normalnym życiem. Jeśli jeden rejnboł się koń-

czy, drugi zaczyna się gdzie indziej, tylko trzeba się dowiedzieć gdzie. Mają stronę internetową — wyjaśniła dziewczyna.

— No ale ktoś tam gotuje, sprząta...

— Nikt nie sprząta. W kręgach robią jedzenie ci, którzy chcą. Najczęściej to są ci, którzy najbardziej zgłodnieli albo mają do nakarmienia dzieci. Wtedy już robią więcej, dla reszty. Na ostatnim rejnbole jakiś Włoch zbudował piec do pizzy i dzieciaki same sobie robiły. Czasem przechodzili „madżik hed” i zbierali kasę. Każdy, kto coś miał, wrzucał do pudła i nazajutrz kupowali za to produkty dla kręgów do robienia posiłków. Rejnboły są świetne. Na ostatnim było dwa i pół tysiąca ludzi. Kiedy zbliżała się pełnia księżyca, wszyscy zaczynali wrzeszczeć, wyć, tańczyć... Szamaństwo, mówię ci, super.

— Pracujesz gdzieś? — zapytał.

— Nie, skończyłam filozofię, trochę popracowałam u znajomego w firmie reklamowej i jednak... nie.

— Twój facet zajmuje się czasem małą?

Marek z pewnym onieśmieleniem użył słowa „facet”, bardzo rzadko gościło ono bowiem w jego słowniku. Przez moment zawahał się, czy nie użyć słowa „dżentelmen”, ale zrezygnował z tego pomysłu. Uznał, że użycie słowa „dżentelmen” w odniesieniu do chłopaka przypominającego Jezusa byłoby jednak niezręczne.

— Czasem tak, choć to nie jest jego dziecko. Zostałam jej ojca, jak mała miała dwa miesiące. Wprowadziłam się do Rufusa.

— Dlaczego?!

— To proste, zakochałam się — odpowiedziała dziewczyna.

— Rozumiem — powiedział Marek, choć nie rozumiał tak do końca, jak można tak szybko żyć. Zmienił temat. — Pierwszy raz widzę taki misterny tatuaż.

— A tak! Pozostał mi po okresie metalowym. Teraz już bym takiego nie zrobiła, ale jest ładny. Sama zaprojektowałam. Tylko moja matka wyszła trochę niepodobna i anioł ma za krótkie nogi.

— Może anioł takie ma? — zastanowił się głośno Marek.

— Może. Nie widziałam anioła w naturze — odparła dziewczyna.

— Fajne te dredy — pochwalił, patrząc z uznaniem na jej fryzurę.

— Mój facet też ma takie, tylko dłuższe i grubsze.

— Widziałem na zdjęciu.



Marek stoczył krótką walkę wewnętrzną ze swoją fobią, ale ciekawość zwyciężyła.

— Można dotknąć? — zapytał.

— Pewnie — odpowiedziała dziewczyna.

— Jak się je myje? — kontynuował Marek, mając w dłoni jedno grube pasmo, przypominające w dotyku sznur.

— Ich się nie myje. Są podobno jakieś żele do wcierania, ale ja nie stosuję. Na początku myłam, ale robiły się coraz twardsze i takie nieprzyjemne w dotyku.

— Jak myślisz, dobrze bym wyglądał z dreadami?

— Nie wydaje mi się. Dredy to decyzja o byciu odmiennym, zresztą masz za krótkie włosy.

Po powrocie Marek opowiedział o tym koledze z pracy, ale ten skomentował:

— Zawsze narzekam, że mam za dużo pracy, ale jak mi przedstawiłeś, jak mógłbym żyć „normalnym życiem”, czyli alternatywnie, to włos mi się zjeżył i jednak nie. Tak! Myślę, że jestem ze swojej pracy nawet zadowolony.

Marka pociągały rozmowy z ludźmi, którzy żyją w tak odmienny sposób. Zawsze był ciekaw innego spojrzenia na rzeczywistość.